

„Der Spiegel” 1993: „Hordy nędzarzy przekroczą Morze Śródziemne na łódkach”

Jan Wójcik

Obserwując obecną debatę na temat masowej imigracji można odnieść wrażenie, że opinie są podzielone. Lewica domaga się otwarcia granic, przyjmowania imigrantów i ułatwiania migracji, a prawica podnosi kwestie bezpieczeństwa, domaga się ograniczenia migracji i zaostrzenia procedur. Czy zawsze jednak tak było?

Ćwierć wieku temu, w 1993 roku, w niemieckim „Der Spiegel”, od lat kojarzonym z lewicą, ukazał się artykuł pod tytułem [„W każdej sekundzie przybywa pięć osób”](#). Tekst traktuje generalnie o demografii i imigracji, a zaczyna się tak: „Hordy nędzarzy będą przekraczać Morze Śródziemne w łódkach, ciągnąc dalej na północ wzdłuż Cieśniny Gibraltarskiej lub Bosforu. Nienawiść i strach wybuchnie przeciwko nim – od tych, którzy już tam żyją: Hiszpanów, Francuzów, Włochów i Niemców”.

Ponure prognozy specjalistów

Dalej artykuł rozwija katastrofalne wizje dotyczące innych regionów świata, wszystko w kontekście potencjalnych 12 miliardów mieszkańców naszej planety. W 1993 było na świecie 5,5 miliarda ludzi, dzisiaj mamy 7,5, a za trzy dekady mamy osiągnąć stan prawie 10 mld.

Ponure prognozy zebrane w artykule „Spiegła” nie były rozwijane przez jakichś wizjonerów, ale przez demografów i specjalistów nauk społecznych. Ostrzegali, że będzie to prowadzić to do niespotykanej biedy, przemocy, niszczenia środowiska naturalnego i upadku społecznego. Co prawda nie mamy jeszcze 10 miliardów ludzi, z biedą radzimy sobie

globalnie lepiej, ale co do innych przewidywań, trendy już dzisiaj się ujawniają.

Już wtedy profesor Jean-Claude Chesnais z Narodowego Instytutu Studiów Demograficznych twierdził, że najwyższy czas zająć się poważnie tymi niepokojącymi perspektywami. Wtedy Fundusz Populacji ONZ twierdził, że ten skok demograficzny jest głównym zagrożeniem dla środowiska w wymiarze lokalnym i globalnym. Dzisiaj więcej słyszymy o problemach związanych z emisją, niż o demografii, chyba że dotyczy to społeczeństw, które i tak mają ujemny przyrost naturalny.

Nie „uratuje” nas AIDS ani bomba atomowa

Klub Rzymski także twierdził, że „nasze potomstwo prawdopodobnie doświadczy masowej imigracji o niespotykanej dotąd skali”. Joshka Fisher, wtedy polityk Zielonych, narzekał na bezradność w tej sytuacji do tego stopnia, że nikt nie chce dyskutować nad problemem. A „Spiegel” przytaczał dla porównania najbardziej cyniczne rozwiązania, które także nie zatrzymają wzrostu demograficznego, takie jak skutki AIDS w Afryce, czy makabryczne porównanie z brytyjskiego czasopisma medycznego „The Lancet”, że spuszczenie bomby atomowej, codziennie zabijającej 90 tysięcy osób nie zniweluje przyrostu 250 tysięcy osób dziennie.

Tamtejsze prognozy nie do końca się sprawdziły. Iran miał w 2000 roku liczyć 74 miliony mieszkańców, miał 66 milionów, ale dzisiaj już ma prawie 82 mln. Za kilka lat od dziś Ameryka Południowa miała osiągnąć 740 milionów. Dzisiaj wiemy, że będzie to raczej 670 mln – to jednak nadal duży wzrost, od 470 milionów przed ćwierćwieczem.

Już dwadzieścia pięć lat temu problem imigracji i rosnącej populacji wydawał się nierozwiązywalny, a demografowie wydawali się być sfrustrowani. Po 25 latach jesteśmy w tym samym miejscu.

Wskazywano już wtedy na nieporównywalną konsumpcję energii i emisję zanieczyszczeń przez państwa rozwinięte, ale

informowano też, że uwalnianie się dwutlenku węgla z pastwisk, które rozrosną się wraz z populacją ludzi, będzie coraz większym problemem i zmieni proporcje w zanieczyszczeniu. Podobnie wylesienia – także w 80% są skutkiem wzrostu populacji.

Trafnie diagnozowano też kierunki migracji z Ameryki Łacińskiej do Ameryki Północnej i z Afryki do Europy. Wiedzano już wtedy także, że w drogę ruszą nie najbiedniejsi, ale ci najbardziej aktywni, przedsiębiorczy, co pozostawi też w gorszej sytuacji państwa opuszczane przez nich, a przy masowej migracji przysporzy kłopotów krajom docelowym. Dyrektor Instytutu na rzecz Biznesu i Społeczeństwa z Bonn, Meinhard Miegel, twierdził, że kiedy imigracja będzie wielokrotnie wyższa, „zdolności absorpcyjne zachodnich krajów szybko ulegną wyczerpaniu”. W latach 1986-1989 Niemcy przyjmowali średnio około 100 tys. uchodźców rocznie z Libanu i Iranu, w latach 1990-92 około trzystu tysięcy z byłej Jugosławii. W roku 2015 kanclerz Merkel otworzyła swój kraj na prawie dwa miliony imigrantów i uchodźców.

Nie byliśmy gotowi i nie jesteśmy

Wtedy już uważano też, że Zachód (wtedy Unia Europejska nie otworzyła się jeszcze na wschód) nie jest przygotowany na migrację. Tworzenie Schengen, zaostrzanie przepisów dla uchodźców w Szwecji, wprowadzenie w Austrii wiz dla Polaków, to były tylko działania doraźne. Problemy te, uważano, nie są tylko instytucjonalne, lecz także społeczeństwo nie jest mentalnie gotowe na taką imigrację.

W latach 90. rosło gwałtownie poparcie dla procesów migracyjnych, a zdaniem profesora historii Hagena Schultza miało to zostać poddane egzaminowi przez większe fale imigracyjne. Tymczasem profesor demografii Josef Schmid twierdził, że Niemcy nie są gotowe na taki problem z uwagi na obciążenie narodowym socjalizmem. „Niemcy zachowują się jak chirurg, który boi się krwi – a operacja się zbliża”, cytował

go lewicowy tygodnik.

Słuchając debaty, która miała miejsce wtedy, odnosi się wrażenie jej powtórki obecnie. Wtedy też dominowały argumenty moralne, ale naukowcy twierdzili, że takie myślenie to „produkt bezpiecznego środowiska”, które zniknie, gdy dojdzie do kryzysu. Wskazywano na ryzyko wzrostu „defensywnego rasizmu” w krajach docelowych migracji. Przewidywano też utratę „małych wolności”, którą to utratę widzimy dzisiaj w związku z zagrożeniem terroryzmem. Mówiono o wzroście kontroli społecznej oraz zastanawiano się, czy otwierać granice dla potrzebujących, czy dla użytecznych i czy imigrantów zmuszać do integracji, czy raczej prowadzić politykę wielokulturową?

Rozważano też dylematy: czy trzeba, kierując się nakazami moralnymi, wpuszczać wszystkich potrzebujących, czy też w sytuacji masowej migracji zamknąć drzwi i pomagać zmieniać świat na zewnątrz, bo kiedy nasz upadnie, to nie będzie już można pomóc innym. Dyskutowano o pomocy rozwojowej w krajach pochodzenia migrantów i o roli kobiet w ograniczaniu dzietności. Na przeszkodzie miały i tak stać ograniczenia religijne – papież i islam, którzy zachęcają do tworzenia coraz liczniejszej populacji ludzkości. Dzisiaj kolejny papież twierdzi, że imigrację, napędzoną między innymi przez przekonania religijne, powinniśmy powitać z otwartymi ramionami.

„Jakoś” to nie będzie

Już dwadzieścia pięć lat temu problem imigracji i rosnącej populacji wydawał się nierozwiązywalny, a demografowie wydawali się być sfrustrowani. Po 25 latach jesteśmy w tym samym miejscu. Rządy wybierały krótkotrwałą perspektywę, nieprzekraczającą najbliższej kadencji. Straciliśmy czas na eksperyment z wielokulturowością. Nie przygotowaliśmy żadnych działań i społeczeństw na trudne decyzje. Dalej słyszymy natomiast głosy, które podpierają się wskazaniem moralnymi nie proponując rozwiązań – poza tym, że jakoś to będzie. Te

głosy jednak powoli, jak przewidywano, giną, bo uruchamiają się procesy społeczne, które doprowadzą do ograniczenia zarówno imigracji, jak i wolności. Jednego można być pewnym z lektury artykułu „Der Spiegel”: jako społeczeństwo, system polityczny i polityczni reprezentanci, nie zdaliśmy egzaminu, marnotrawiąc te 25 lat bez żadnych przygotowań.